

CIAO
GOETHE!
JACEK CYGAN

ŚLADAMI
GOETHEGO
W ITALII

MARGINESY

Ciao, Goethe!

COPYRIGHT © BY Jacek Cygan

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

EWIE,
W KTÓREJ SĄ WSZYSTKIE KOBIETY
GOETHEGO



WSTĘP

Dlaczego chciałem napisać tę książkę? Pewnie trochę dlatego, że ludzi poznaje się najlepiej w podróży, ale także z innego powodu. Jestem częścią tego samego świata, którego kawałkiem był Goethe. Czy mogło mi się przydarzyć coś lepszego niż podążanie tą samą drogą: zdzieranie butów na tych samych kamieniach, picie wina z winogron wyrosłych na tej samej ziemi i napełnianie oczu obrazami, których twórcy są mi tak samo bliscy, jak byli niemieckiemu poecie?

Przed chwilą obejrzałem kolejny raz film, którego bohater, odpowiadając na pytanie, dlaczego nie napisał przez całe życie drugiej książki, odpowiada: „Szukałem wielkiego piękna. Ale nie znalazłem”. Być może powiedział to także w imieniu Goethego, moim i wielu innych, którzy próbowali coś napisać, namalować, skomponować, wyrzeźbić. Jesteśmy z tej samej materii, jeden duch nas stworzył i ten sam duch przyjmie nas z powrotem – jak napisał inny wielki syn tego świata, Sándor Márai.

Ta książka powstawała przez wiele lat. Nie spieszyłem się, czekałem, aż momenty włoskiej podróży, którą ponad dwieście lat temu odbył wielki poeta i niezwykle ciekawy człowiek, same do mnie przyjdą. Zostawił dziennik pisany dla przyjaciół. Przemierzając tę drogę, poczułem się jednym z nich.



UCIECZKA Z KARLSBADU

OBRAŻENI PRZYJACIELE • KTO WIEDZIAŁ (KSIĄŻĘ), A KTO
NIE (PLATONICZNA KOCHANKA) • GOETHE'S BEER HOUSE
I BECHEROVKA

O trzeciej nad ranem stałem w oknie pokoju na trzecim piętrze ogromnego Grandhotel Pupp w Karlowych Warach i wyobrażałem sobie, że w dole widzę dylizans, którym Johann Wolfgang Goethe wymyka się z miasta. Był początek września 2021 roku, noc pachniała świeżością i wilgocią. W taką samą wrześniową noc, tylko 235 lat temu poeta potajemnie wyjechał z Karlsbadu (to niemiecka nazwa Karlowych Warów), nie mówiąc ani słowa przyjaciołom, nie informując także osoby, która przez ostatnie dziesięć lat była mu najbliższa, Charlotty von Stein. Jeszcze kilka dni wcześniej, 28 sierpnia obchodzono hucznie jego urodziny, na przyjęciu gościł sam mocodawca Goethego, książę Weimaru Karol August, który przed jedenastu laty ściągnął go do siebie, mianował ministrem w swoim rządzie, wypłacał mu wysoką pensję, a cztery lata wcześniej uzyskał dla niego u cesarza w Wiedniu tytuł szlachecki „von Goethe”. I tylko on wiedział o „ucieczce” poety, no ale jakże by mogło być inaczej – w końcu szef to szef!

W południe udałem się na poszukiwanie karlowarskich śladów Goethego. Miałem świadomość, że nigdy się nie dowiem, dlaczego

poeta postanowił nagle uciec od przyjaciół i ukochanej kobiety? Żywiłem nadzieję, że moja decyzja, by podążać jego włoskim tropem, pomoże mi choć trochę to zrozumieć. Na razie jednak, nie mogąc odpowiedzieć na pytanie „dlaczego uciekł?”, spróbuję odpowiedzieć na inne: „skąd uciekł?”. Oto rezultaty tych penetracji w reporterskim skrócie. Największy napis „Goethe” w Karlowych Warach znajduje się na frontonie zabytkowej kamienicy na deptaku biegnącym wzdłuż rzeki Tepli. Jest częścią szyldu „Goethe’s Beer House”. Nie wiemy, czy ten lokal jest uprawniony do podpisywania się poetą i jak on by to przyjął, że stał się symbolem piwnego domu. Tym bardziej, że akurat z tym domem nic go nie łączyło, co możemy wnosić z faktu, iż pamiątkowa tabliczka znajduje się na budynku z prawej strony i głosi w pięknym języku czeskim: „Na tomto místě stával dom Strauss v němž v roce 1823 bydlel básnik Johann Wolfgang Goethe”. Szczególnie ujmujące jest tu użycie ślicznego słowa *básnik* dla oznaczenia poety, czego doświadczyłem osobiście, kiedy ukazał się tom moich wierszy (po czesku *básně*) pod tytułem *Tady a tam*.

Rok 1823 na kamiennej tabliczce nijak nie mógł nas satysfakcjonować, udaliśmy się zatem z żoną na dalsze poszukiwanie miejsca, które Goethe opuścił w roku 1786. I już po chwili trafiliśmy na kamieniczkę, nazywającą się „U tři Mouřeninů”, która zachwycała nas płaskorzeźbami trzech Maurów (stąd zapewne jej nazwa). Marmurowa tablica informowała, że Goethe trzynastokrotnie odwiedził Karlowe Wary, a w tym właśnie domu przebywał w latach: 1806, 1807, 1808, 1810, 1811, 1812, 1818, 1819, 1820. Już było ciepłej, ale wciąż nie gorąco!

Nasze poszukiwania zostały w pełni nagrodzone po chwili. Wprawdzie urocza kamieniczka miała nad ażurowym balkonem złoty napis „Mozart”, ale po prawej stronie drzwi wejściowych odkryliśmy wielce udaną płaskorzeźbę niemieckiego poety oraz

stosowną tabliczkę, na której tak zwanym gotykiem było napisane: „Goethe 1786”. A więc to stąd wyruszył w swoją włoską podróż! Ale zaraz, zaraz – wówczas ten hotel czy pensjonat nie mógł jeszcze nazywać się Mozart, więc jak? Zapobiegliwi i skrupulatni Czesi pomogli nam rozwiązać ten problem, wmurowując przed hotelem w uliczny chodnik kamienny napis, z którego wynikało, że obecny hotel Mozart nazywał się kiedyś Drei Rote Rosen i został otwarty w roku 1756. Rozejrzeliśmy się wokoło: wrześnie słońce wydobywało z fasad kamieniczek pastelowe barwy, powietrze tchnęło świeżością, z Tepli biły w niebo fontanny źródlanej wody. Było jak w raju i pomyślałem sobie, że Goethe nie mógł wybrać lepszego miejsca, by zwrócić uwagę na swoją ucieczkę.

Następnego dnia o dziesiątej (kiedy poeta w swej podróży docierał już do Regensburga, czyli dzisiejszej Ratyzbony), udałem się na dalsze poszukiwanie jego karlowarskich śladów. Wiedziałem, że gdzieś niedaleko hotelu musi być pomnik poety, i rzeczywiście po kilkuset metrach ujrzałem popiersie wciśnięte nieszczęśliwie w leśny wał, zupełnie pozbawione światła, a nade wszystko całkowicie niepasujące do cokołu. Obok, przykręcone do omszałych skał, znajdowały się dwie kamienne tablice z niemiecką wersją cztero-wiersza Goethego zatytułowanego *Karlsbad* oraz jego czeskim tłumaczeniem. Zupełnie to wszystko ze sobą nie grało, rozumiem jednak ojców miasta, że chcieli w ten sposób połączyć niemieckiego wieszca z ich grodem. Coś mi tu mimo wszystko nie pasowało, zwłaszcza kiedy odkryłem kilkaset metrów dalej okazałe rotundy poświęcone Schillerowi i Beethovenowi. Na tle tych przemysłanych pomników umieszczenie popiersia Goethego w ciasnej przestrzeni leśnego wału wydawało się prowizorką. Wieczorem znalazłem w sieci, że pomnik poety, dłuta stuttgartarckiego rzeźbiarza Adolfa von Donndorfa, stał pierwotnie przed Grandhotelem Pupp, a jego odsłonięcie miało miejsce w roku 1883. Jednak po drugiej wojnie

światowej został wyrzucony z tego zacnego miejsca – niemiecki poeta stał się ofiarą narodowego czyszczenia historii. Dopiero w roku 1952 popiersie umieszczono przy leśnej ścieżce, przy której dzisiaj stoi, przy okazji nazywając ją Goethova stezka. Niestety, oryginalny postument został zniszczony i dlatego musimy niejako oglądać Goethego w opakowaniu zastępczym.

W nocnym przybytku zwanym Becher Bar, w którym Jan Becher w roku 1807 wynalazł swój *Becher-Bitter*, zastanawiałem się, jak to jest, że napis „Goethe’s Beer House” może być czysty i okazały, a pomnik Goethego – zaniedbany i wciśnięty w leśną dróżkę. Jednak kolejne szklaneczki *beton becher*, czyli pachnącej ziołami becherovki z tonikiem, rozwiały moje niepokoje. „Ot, takie czasy, piwo ma lepszy marketing niż poeci – pomyślałem, by natychmiast pocieszająco dodać – ale nie dla wszystkich!” Zasypiając, sięgnąłem jeszcze raz po książkę Goethego *Podróż włoska*, która od ponad dziesięciu lat nie opuszcza mojej walizki. I przeczytałem:

O trzeciej nad ranem wymknąłem się chyłkiem z Karlsbadu, bo inaczej nie wyrwałbym się stamtąd. Przyjaciele i znajomi, którzy dwudziestego ósmego sierpnia tak serdecznie świętowali moje urodziny, uznali, że mają prawo mnie zatrzymać; ale nie było co dłużej zwlekać. Spakowałem tylko swój mantelzak i torbę z borsuczej skóry, po czym, nie zabierając ze sobą nikogo, wskoczyłem do dylizansu.*

* Zarówno ten, jak i dalsze cytaty z *Podróży włoskiej* Johanna Wolfganga Goethego podaję w tłumaczeniu Henryka Krzeczkowskiego.





TYROL

PO CIEMKU NIEOŚWIETLONYM DYLIŻANSEM • POCZTYLION
ZASNAŁ • NIEBEZPIECZNIE SZKICOWAĆ ZAMKI W REPUBLICIE
WENECKIEJ • GARDA NIBY MORZE • „WSZYSTKO MNIE CIESZY”.

WInnsbrucku bez żalu porzuciłem autostradę. Droga zaczęła się widać i chociaż słońce schowało się za chmury, to wieczór zapowiadał się pogodny. Szosa wznosiła się i opadała, po prawej stronie pojawiły się falujące skały. Ogromne, wielopiętrowe, jakby pokryte skórą słonia. Serpentynując, wspinaliśmy się na zbocza obdarzone przez wiosnę niezliczonymi odcieniami zieleni. Nagle wjechaliśmy do wioski jak z bajki – każdy z kolorowych domków miał wykusz zerkający na świat trzema oknami. Środkowe patrzyło na wprost, dwa pozostałe z ukosa na boki. Droga nie miała chodnika i musiałem zwolnić, by ominąć chłopca idącego prawą stroną z ogromnym plecakiem, z którego wystawał złoty saksofon. Stał mi przed oczami obrazek opisywany przez Goethego, kiedy to jadąc – tą samą drogą! – napotkał mężczyznę niosącego harfę, idącego z jedenastoletnią córką. Poprosił Goethego, by zabrał córeczkę do powozu, sam szedł dalej, niosąc swój instrument. Dziewczynka okazała się utalentowaną harfistką, która grała między innymi przed elektorem w Monachium. Przez całą podróż bawiła poetę rozmową, a ten obiecał, że

na jarmarku w Bolzano, gdzie mieli się spotkać z jej ojcem, kupi jej prezent. Dziewczynka ucieszyła Goethego przepowiednią dobrej pogody, a zapytana o źródło tej wiedzy, rezolutnie oświadczyła, że harfa jest jej barometrem. Kiedy najwyższa struna o ton się podwyższa, oznacza to poprawę pogody, a tego dnia właśnie tak się stało.

Dotychczas słowo Brenner kojarzyło mi się wyłącznie z alpejską przełęczą, no, ale zawsze jechałem autostradą. Teraz, podążając śladami Goethego, wjechałem do wioski o tej nazwie. Na rondzie zauważyłem tabliczkę „Italia” – i tak Włochy zaczęły się dla nas na rondzie. Bardzo charakterystyczne dla Goethego jest zdanie: „Dziwiącego wieczorem po skończeniu pierwszego rozdziału mojego dziennika chciałem jeszcze narysować zajazd, służący równocześnie za urząd pocztowy na Brennerze, ale mi nie wyszło: nie utrafiłem atmosfery miejsca i wróciłem do domu markotny”. W ten sposób poeta jawi nam się tu jako malarz i rysownik, co jeszcze nie raz w tej podróży okaże się rzeczą pierwszoplanową. Wspomniany przez niego zajazd miał być pierwotnie miejscem nocnego odpoczynku, ale gospodarz zaproponował dalszą jazdę, bo „będzie księżyc i droga będzie dobra”. Goethe przystał na tę propozycję i dzięki temu mamy niezwykle dokument w postaci zdań opisujących nocną podróż:

Pocztylion zasnął, a konie szybko pokłusowały w dół po znanej drodze. Zwalniały kroku, gdy trafił się równy kawałek, ale wtedy woźnica budził się i znów je poganiał. Jadąc szybko między wysokimi skałami, dotarłem do rwącej Adygi. Wszedł księżyc i w jego poświacie wyłoniły się niesamowite kształty. Kilka młynów między prastarymi sosnami nad pieniącą się rzeką zupełnie przypominało obrazy Everdingena.

Nawiasem mówiąc, piękny obraz *Pejzaż z wodospadem* tego holenderskiego malarza, będący jakby odzwierciedleniem słów poety, znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie. Nagie skały, rwące strumienie, dzikość przyrody – to wszystko, co opisywał Goethe, dzisiaj rozciągało się przed nami. Zdumiewa mnie, jak powóz, nie mając żadnych świateł z przodu, mógł w nocy pędzić po tych krętych drogach o dużych spadkach, zwłaszcza wtedy, gdy „pocztylion zasnął”. Goethe pisze, że wjechał do Bressanone, ale szybko je opuścił i o świcie, będąc już w okolicy Kollmann, zobaczył porośnięte winem stoki. Jednocześnie wyraża żal, że musi przejeżdżać przez te śliczne okolice nocą, i w dodatku w strasznym pośpiechu. Gdyby tak nie było, z pewnością w tej książce znaleźlibyśmy opis zamku Trostburg, choćby dlatego, że był siedzibą rodziny Wolkensteinów, domem najznamienitszego poety okresu wczesno-nowo-wysokoniemieckiego (uff!) Oswalda von Wolkensteina.

Żałuję, że Goethe nie zatrzymał się w Bressanone. Przemawia przeze mnie sympatia do tego cudownego miasteczka oraz pewność, że tak wielki miłośnik zwierząt, roślin i kamieni byłby zachwycony historią pewnego słonia, który stał się symbolem tego miejsca! Otóż w roku 1551, niedługo przed Bożym Narodzeniem, przybył tu z Genui orszak wiodący przez góry słonia imieniem Soliman. Słoń ów był darem dla Maksymiliana II Habsburga, późniejszego cesarza i przyплыł z Indii do Portugalii, następnie zaś do Genui, skąd – nie bacząc na chłody i mrozy – wiedziono go do Wiednia. Historia mówi, że Soliman wraz ze swoim kornakiem, czyli dozorcą słoni, spędził dwa tygodnie w Bressanone w najlepszym miejscowym zajeździe. Niezwłocznie po wymeldowaniu się słonia właściciel zajazdu Andrä Posch nadał mu nazwę Elephant i ozdobił frontową ścianę imponującym freskiem przedstawiającym Solimana.

Obecnie w hotelu Elephant historia wygląda z każdego kąta. Z portretów patrzą na nas koronowane głowy, w tym współczes-

ny Goethemu cesarz Józef II Habsburg, który zatrzymał się tu w drodze do Włoch w roku 1769, kiedy jechał jako obserwator na konklawe papieża Klemensa XIV. Dodam jeszcze, że Bressanone zachwyca starą miejską zabudową, a na niewielkim placu wyrasta ogromna katedra Santa Maria Assunta e San Cassiano (Najświętszej Marii Panny i Świętego Kasjana), znana także po prostu jako katedra w Bressanone. Ze swoimi dwiema ozdobnymi wieżami jest jakby za duża w tym miejscu. Wygląda, jakby została tu przeniesiona z jakiejś metropolii – najpewniej w nocy, kiedy wszyscy spali. Wyobrażam sobie, że rano, kiedy mieszkańcy się obudzili, zobaczyli, jaka jest piękna, i już jej nie chcieli oddać. Dodam jeszcze, iż barokowa budowla została ukończona jakby specjalnie na przyjazd Goethego, bowiem w roku 1758.

Wróćmy do Goethego i jego podróży motywacji. Przez lata, zapewne podobnie jak większość Czytelników, nosiłem w sobie wizerunek niemieckiego poety jako silnego, niemalże spiżowego męża, dumnego, nawet nieco zarozumiałego, któremu ludzkie słabości, a zwłaszcza wszelkie wątpliwości są obce. Tymczasem pod wpływem cudownych krajobrazów rozciągających się od Bolzano do Trydentu poeta zapisuje w dzienniku:

Najważniejsze, że świat znowu mnie interesuje, że wypróbuję i badam moją spostrzegawczość, że chcę przekonać się, jak dalece sięga moja wiedza, stwierdzić, czy moje oko jest czyste, jasne i bystre, ile potrafię ogarnąć pośpiesznym spojrzeniem i czy uda mi się wygładzić zmarszczki, które na mej duszy wyżyłbił nawyk.

A zatem były głębsze powody tej podróży do Włoch niż tylko chęć poznania nieznanego. Dusza poety nie była w najlepszym stanie, Goethe postanawia ją leczyć. Diagnoza i zastosowane środki okazały się trafne, gdyż już na początku podróży wyznaje: „Słońce mocno grzeje i znowu można wierzyć w Boga”, a kilka zdań dalej: „Wszystko mnie cieszy, jakbym się w tych stronach urodził i wracał właśnie z wyprawy na wieloryby”.

Może nie wziął udziału w polowaniu na wieloryby, ale już kilka dni po zapisaniu tych słów Goethe żeglował po wielkich wodach. Zjechał bowiem z drogi, żeby zobaczyć słynne jezioro Garda. Jak wspominał, był już we włoskiej strefie językowej i cieszył się, że będzie mu dane szlifować ukochany język. Jadąc, podziwiał drzewa figowe i widziane pierwszy raz w takim nagromadzeniu gaje oliwne. Zauważa, że wielu właścicieli winnic spryskuje winne krzaki wapnem, i przy okazji popisuje się fachową uwagą: „Winogrona są od tego niesmaczne, ale winu to nie szkodzi, bo całe wapno znika podczas fermentacji”.

Ciekawe, że nie wspomina o zwyczaju sadzenia na brzegach winnic krzaków róż, które miały ostrzegać przed chorobami grożącymi winnicom. Przekonano się, że róże pierwsze pokazują choroby, które atakują winorośle. Tak, pierwsza umiera róża. Czyżby w drugiej połowie XVIII wieku nie wiedzano jeszcze o tym?

Poeta zatrzymuje się w maleńkiej miejscowości Torbole, gdzie do dzisiaj go pamiętają i czczą okolicznościową tablicą. W zajeździe, w którym staje, dziwi go, że w drzwiach nie ma zamków, co według niego świadczy o wielkiej uczciwości mieszkańców. W oknach natomiast szyby zastępuje pergamin. Poeta nie próbuje dociekać, dlaczego tak jest. Tak samo zupełnie nie interpretuje zabawnej sceny, kiedy zapytawszy miejscowego służącego o miejsce, gdzie król chodzi piechotą, otrzymał odpowiedź:

– *Qui abbasso puo servisi.* – Po czym służący wskazał na dół, na podwórze.

– *Dove?* – zapytał Goethe, chcąc się dowiedzieć, gdzie dokładnie jest ów przybytek.

– *Da per tutto, dove vuol!* – odrzekł służący, co znaczy: „wszędzie, gdzie pan sobie życzy!”.

Kto by przypuszczał, że podobna scena, choć wynikająca z zupełnie innych przesłanek, rozegra się prawie dwieście lat później w Warszawie, w roku 1957 podczas Zjazdu Literatów Polskich. Obecny na zjeździe Aleksiej Surkow, prezes sowieckiego Związku Pisarzy, zapytał w kulisach Antoniego Słonimskiego:

– Panie Antoni, gdzie tu mogę zrobić siusiu?

– Pan? Wszędzie! – odpowiedział Słonimski.

Niby ten sam dialog, a jakaż różnica w obecności pierwiastka komicznego!

Zatem – żeglowanie. Poeta nie byłby sobą, gdyby będąc nad Gardą (kiedyś to jezioro nosiło nazwę Benacus), nie zacytował liniiki wiersza Wergiliusza: „*Fluctibus et fremitu resonans Benace marino*” („Ty, Benacu, co podnosisz fale, burząc je niby morze”). 13 września 1786 roku około trzeciej nad ranem wyruszył z dwoma wiosłarzami z Torbole. Pamiętam, jak sam, stojąc kiedyś na balkonie hotelu w Riva del Garda, niecałe cztery kilometry od Torbole, obserwowałem tuż po północy nagły atak wiatru, który zaczął wiać z ogromną siłą od Alp. Wzburzył prawie metrowe fale – wyglądało to tak, jakby przesuwwały się po jeziorze wodne wielbłądy. Goethe już w pierwszym liście z Torbole wykłada przyjacielom, że nocą po dwunastej wiatr wieje od północnych gór, a w ciągu dnia zmienia się na południowy. Dodajmy, że ten północny wiatr nazywa się

peler, a ten południowy – ora. Wprawdzie obecnie uważa się, że południowy wiatr przychodzi w godzinach popołudniowych, przyjmijmy jednak za wiarygodną wersję poety, że kiedy wstał dzień, silny atak południowego wiatru zmusił jego łódź do zawinięcia do portu w Malcesine. Trzeba przy tym wiedzieć, że Malcesine była pierwszą miejscowością na terytorium ówczesnej Republiki Weneckiej.

Był wczesny ranek, poeta udał się do trzynastowiecznego zamku Scaligerich i zaczął szkicować najwyższą wieżę. Wzbudziło to zainteresowanie mieszkańców, poczęli więc gromadzić się wokół niego. Tłum narastał, w końcu znalazł się człowiek, który oskarżył go o szpiegostwo na rzecz cesarza Józefa II, wyrwał mu rysunek i przedarł na pół. Zrobiło się niebezpiecznie, zjawił się przedstawiciel miejscowej władzy, którego Goethe określa jako podestę. I rozgrywa się scena jakby wyjęta z sądu, bowiem Goethe wygłasza prawdziwą mowę na swoją obronę. Ale mimo że poeta zna włoski, to okazuje się, że podesta, a także jego pomocnik, aktuariusz, mówią jakby odmiennym od niego językiem. Bierze się to stąd, że dla zgromadzonych na dziedzińcu zamkowym ludzi takie pojęcia, jak malarskie piękno, cudowność ruin, chęć utrwalenia chwili, kiedy poranne słońce oświetla promieniami skarby architektury – te wszystkie pojęcia są niezrozumiałe, obce i wysoce podejrzane. Sytuacja staje się dramatyczna, chociaż poecie wydaje się, że reakcje pocziwych mieszkańców miasteczka, ich wzrok i miny świadczą o tym, iż jego mowa odniosła pozytywny skutek. Jednak władza ma inne zdanie.

Wspomniany aktuariusz komentuje te oratorskie wyczyny tak: „Pięknie pan gadasz, ale nie wiadomo, czy cesarz Józef, który zawsze coś knuł przeciwko Republice Weneckiej, nie wysłał pana na przesłuchanie”. Zapewnienia, że Goethe nie jest poddanym cesarza, nie przynoszą efektu. Dopiero po jego wyznaniu, że urodził się i wy-

chował w Wolnym Mieście Frankfurcie nad Menem, jakaś życzliwa niewiasta przypomina sobie, że w miasteczku mieszka pewien Gregorio, który kiedyś był na służbie w tymże Frankfurcie. Należy więc go sprowadzić. Rzecz dalej rozgrywa się jak w teatralnej sztuce. Gregorio łagodzi napięcie – znajduje z poetą wspólnych frankfurckich znajomych. Sentymenty, które budzą się w nim pod wpływem rozmowy, doprowadzają do takiego oświadczenia: „Panie podesto, jestem pewny, że stoi przed nami człowiek zacny, wykształcony i porządny, który podróżuje dla wzbogacenia swojej wiedzy”. I tak oto Goethe zostaje ocalony.

Całe to zdarzenie wywołuje wśród biografów poety dyskusję. Twierdzą, że Goethe, opisując tę scenę, kreował się na znakomitego mówcę. Podkreślają, że chociaż miał wysokie mniemanie o swoich talentach oratorskich, w rzeczywistości wcale się nimi nie odznaczał. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że jego przemowa naprawdę musiała być pierwszorzędną, bowiem w jej wyniku Goethe nie tylko uchodzi cało, ale cały dzień jest goszczony przez mieszkańców Malcesine, a przed północą wypływa z miasteczka obdarowany wielkim kosztem wspaniałych owoców. Przygoda jednak musiała zrobić na nim wrażenie, gdyż w dzienniku dzieli się refleksją, że owe brzegi omal nie stały się dla niego krainą Lestrygonów. Sprawdziłem, Lestrygonowie albo Lajstrygonowie to mityczny lud olbrzymów ludożerców, o którym Homer wspomina w *Odysei*. Zatonili jedenaście okrętów Odyseusza i pożarli ich załogi. Fakt, iż poeta wspomina o nich w tym miejscu, świadczy o tym, że wesoło nie było!

Dzisiaj Torbole, a właściwie Nago-Torbole, to jeden z najpiękniejszych zakątków nad Gardą, zwłaszcza kiedy człowiek przybywa tu, tak jak my, w upalne lipcowe popołudnie, czuje na twarzy cudowny podmuch wiatru z południa i może obserwować, jak góry przeglądają się w spokojnej tafli jeziora. Siedząc o zachodzie

słońca w *ristorante* Casa Beust i patrząc na jezioro, które znajduje się dokładnie u moich stóp, rozumiem, dlaczego to miejsce nazywa się cudem natury, dlaczego przyjeżdżali tu wielcy tego świata, między innymi Montaigne czy Dürer. A po nich – Goethe. Przy okazji, warto zamówić tam *bigoi alla torbolana*, szorstki makaron grubszy od spaghetti, w sosie z jeziornych ryb, którego podstawą jest ryбка *alborella*, po polsku ukleja. A do tego różowe wino Dalis Endrizzi tłoczone od 1885 roku przez rodzinę Endrizzi w małej Piana Rotaliana obok San Michele w Górnej Adydze. Zaznaczę jeszcze, że kiedy zstąpiła noc, naszą uwagę pochłonęło wino czerwone z mojego ulubionego, rzadkiego szczepu lagrein z winnic poniżej Bolzano. Na pięknej etykietce widniała nazwa: Urban Lagrein Riserva 2015 oraz Tramin, czyli nazwa rodzinnej kantyny. Oczywiście na stole nie było już wtedy rybek z Gardy, zastąpiło je *carré d'angelo*, czyli comber jagnięcy. Kiedy dzwony wybiły północ, na jeziorze zaczęły tworzyć się fale, począł wiać peler. Błyskawicznie się ochłodziło, więc udaliśmy się do naszego hotelu Centrale na miłym placu noszącym (oczywiście!) nazwę Piazza Goethe.

Naprzeciw wejścia do hotelu znajdowała się tablica pamiątkowa, gdzie przeczytaliśmy cytaty z mistrza: „Dzisiaj pracowałem nad *Ifigenią*, patrząc w twarz jeziora i bardzo dobrze mi szło”. Pod spodem gotyckimi literami nazwisko Goethego i dopisek: „Tagebücher, 12 Sept 1786”. Jeszcze niżej znajduje się informacja, że tablica została ufundowana z okazji 150. rocznicy urodzin poety. Można domniemywać, że twórcy tablicy wybrali ze wspomnianego *Tagebücher*, czyli dziennika poety, zdanie wpisane jego ręką 12 września 1786 roku. Ciekawe, że w książce *Podróż włoska*, którą poeta ułożył ze

swoich podróży listów zapisywanych w tymże dzienniku, nie ma wzmianki na temat pracy w Torbole nad sztuką *Ifigenia w Taurydzie*. Jedyna informacja o działalności twórczej w Torbole i pod tą samą datą ma postać: „Drzwi mojego pokoju wychodzą na leżące niżej podwórze. Przysunąłem stół do drzwi i kilkoma kreskami naskicowałem widok. Jezioro widać prawie w całej okazałości, tylko po lewej stronie jego skraj uchodzi naszym oczom”.

Wygląda zatem to tak, jakby twórcy pamiątkowej tablicy zamierzali uwiecznić Goethego jako poetę, a sam Goethe chciał, by zapamiętano, że w Torbole był rysownikiem. Rozbieżność dotyczy podstawowej sprawy, czyli odpowiedzi na pytanie: „Kim jestem? Kim chcę być w tej włoskiej podróży, poetą czy malarzem? I dlaczego?”. Ta sprawa będzie powracała przez następne dwa lata jako pewien klucz do zrozumienia postawy Goethego w budowaniu swojej postaci jako artysty, w długim procesie samokreacji.

W tym miejscu warto wtrącić słówko o tym, jak powstała *Podróż włoska* – książka, która będzie nam stale towarzyszyć w czasie włoskiej podróży śladami Goethego. Poeta prawie każdego dnia notował w dzienniku swoje wrażenia. Pisał je w formie listów, na razie jednak nie określamy dokładnie, kto był ich adresatem. Przyjmijmy, że były to listy do przyjaciół, których pozostawił w Weimarze. Dopiero prawie trzydzieści lat po powrocie z Włoch Goethe zrehabilitował je i zebrał w książkę, której pierwszy tom ukazał się drukiem w roku 1818. Być może tekst znajdujący się na tablicy pamiątkowej przy naszym hotelu został przez autora odrzucony podczas prac redakcyjnych? I gdyby nie tablica w Torbole, nigdy byśmy się o nim nie dowiedzieli. Jakże warto było tu przyjechać!

Pobyt poety w Torbole współcześni mieszkańcy wyeksploatowali do granic, nawet nowoczesny podziemny parking, niedawno wybudowany na obrzeżach miasteczka, nosi imię Goethego! Aby

jednak nie kończyć tego wątku nutą złośliwości, wróćmy do najpiękniejszych wrażeń poety z krótkiej żeglugi po Gardzie:

Minęliśmy Limone, którego cytrynowe gaje tarasami schodzące po stoku góry są obrazem zamożności i porządku. Gaj taki składa się z rzędów białych czworobocznych słupów, stojących w regularnych odstępach i wspinających się stopniami w górę. Na tych słupach leżą mocne belki, by w zimie można było osłonić rosnące między nimi drzewa. Łódź płynęła powoli, co sprzyjało kontemplowaniu i oglądaniu tych miłych oku szczegółów.

I dzisiaj, kiedy jedzie się krętą i pełną tuneli drogą po zachodniej stronie Gardy, widzi się te niezwykle konstrukcje, które obecnie zowią się „limonaje”. Dzięki nim uprawiano z powodzeniem tu, na północy Włoch, cytryny. Nie mógł ich nie zauważyć poeta, spod którego ręki wyszło zdanie: „Czy znasz ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?”.